

Wpłynęło dnia 15 LIP. 2010  
L.dz. 18710

AW II / 13595

11. 07. 2010 r. Glasgow Scotland  
67 rocznica „Krwawej Niedzieli” na Wołyniu

Sławomir Tomasz Roch  
rycerzniebieski@wp.pl

*[...] Pewnego razu gdy prowadził nasz nauczyciel, a my szliśmy dwójkami, trzymając się za rączki, jednolicie, pięknie na granatowo poubrani, była piękna pogoda, a my głośno, radośnie śpiewaliśmy do marszu naszą ulubioną piosenkę o dzielnym plk. Kuli – Lisie, który swoje życie złożył na ołtarzu Ojczyzny. Właśnie przechodziliśmy przez jakąś miejscowość, nawet chyba tam gdzie stała wspomniana już wcześniej Figura i widzieliśmy jak wielu ludzi wychodziło do drogi z domów i z wyraźną sympatią przysłuchiwało się nam dzieciom. Na pewno ich serca napępniały się w tym momencie radością i dumą, bo przecież stanowiliśmy zastępy przyszłej, nowej Polski. Nagle z opłotków jednego domu wyszedł zapłakany człowiek, starszy pan, bardzo poruszony i porosił naszego nauczyciela, aby tej pieśni w tym momencie nie śpiewać. Przedstawił się następnie uprzejmie jako ojciec naszego bohatera plk. Lisa – Kuli. Nauczyciel uszanował tę prośbę tak miłego gościa i dalej szliśmy przez chwilę w milczeniu. Nie pamiętam, abym wtedy o czymś mówiła, do dziś wspominam to bardzo miło.[...] Leokadia Michaluk z d. Południowska*

### WSPOMNIENIA LEOKADII MICHALUK Z D. POŁUDNIEWSKA Z KOLONII JASIONÓWKAW POW. WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1935 – 1944

Nazywam się Leokadia Michaluk mam 78 lat, mieszkam we wsi Gdeszyn nr 45, gm Miączyn, powiat Zamość, woj. Lubelskie. Urodziłam się 12 grudnia 1926 r. w kolonii polskiej Zagatka, gm Werba, powiat Włodzimierz Wołyński, w rodzinie polskiej, rzymskokatolickiej. Mój tatuś to Kazimierz Południowski, jego rodzice to Franciszek i Katarzyna z domu Kruk. Moja mamusia miała na imię Stefania, jej rodzice to Jan Rudnicki i Władysława z d. Krzaczkowska. Rodzina Rudnickich mieszkała od pokoleń na kolonii Jasionówka, bowiem nic mi nie wiadomo, aby skądś tu przyjechali. Z kolei moja babcia Władysława Krzaczkowska pochodziła z kolonii polskiej Michałówka w okolicach miasteczka Łokacze. Miałam dwóch rodzonych braci: najstarszy był Feliks z 1924 r. i najmłodszy z nas wszystkich Jan urodzony w roku 1940 oraz dwie siostry: Regina z roku 1929 i Petronela z roku 1934. Do dziś żyją wszyscy, tylko siostra Regina już zmarła. Dla Królestwa Niebieskiego narodziłam się w kościele w Swojczowie, jestem tego pewna choć nigdy właściwie nie pytałam o to gdzie mnie ochrzczono. Moimi rodzicami od Chrztu Świętego byli: stryjenka Aniela Południowska oraz nasz sąsiad Polak o nazwisku Kafel z kolonii Zagatka.

Tatuś Kazimierz wiele razy opowiadał w naszym domu ciekawą historię swojej młodości oraz najbliższej rodziny. Z tego co pamiętam, wnioskuję, że rodzina tatusia mieszkała w Rosji carskiej do wybuchu Rewolucji Październikowej w roku 1917. Dużo wskazuje na to, że była to rodzina o pochodzeniu szlacheckim, choć pewności dziś już nie mam. Potwierdza to jednak fakt, że cała rodzina była zmuszona uciekać do Ameryki, gdzie przez całe lata mieszkała w Nowym Jorku na Bruklinie. Potem gdy Polska odzyskała niepodległość i objęła swoimi granicami Kresy, w tym Wołyń, moja babcia Katarzyna wróciła do kraju wraz z trzema synami: Janem, Władysławem i Kazimierzem. Wkrótce po tym zakupiła gospodarstwo i blisko 70 ha ziemi. Osiedli więc na stałe w kolonii Zagatka, w gminie Werba. Jeszcze przez kilka lat dziadzio Franciszek przysyłał z Ameryki pieniądze, a babcia sprawnie gospodarzyła. Po pewnym czasie i on wrócił do Polski i tu już pozostał.

Inny ślad szlacheckiego rodowodu naszej rodziny pozostawił mój stryj Kazimierz Południowski, który przed wojną mieszkał na Polesiu na wsi, gdzie posiadali dość duże gospodarstwo, może nawet ponad 100 ha. Znaczące jest, że także ojciec Kazimierza tj. Jan Południowski spędził wiele lat w Ameryce. A po

zakończeniu II wojny światowej osiadł w Lublinie i wiele razy podczas naszych rodzinnych spotkań lubił opowiadać życiorys rodziny Południewskich. Mówił więc tak: „*Nasza rodzina ma pochodzenie szlacheckie i dlatego jako panów podczas I wojny światowej czekała nas niechybna śmierć ze strony komunistów. To dlatego musieliśmy uciekać do Ameryki, a Ci którzy zostali gineli niekiedy w strasznych mękach. Tak właśnie zamordowali mojego dziadka Południewskiego, którego czerwonoarmiści wsadzili do skrzyni i przerzneli bestialsko piłą.*” Jest mi wiadome, że w Ameryce pozostały dwie rodzone siostry tatusia: Maria i Józefa i tam też założyły już swoje rodziny.

Nasza kolonia była czysto polska, ale była stosunkowo mała, liczyła tylko 14 domów. Położona była pomiędzy dwoma wielkimi połaciami lasów: świniarzyńskim oraz poniemieckim, należącym do gospodarzy Niemców zamieszkujących wyłącznie kolonię Swojczówka. Kolonia położona była właściwie nad rzeką Turia, do której z domu było zaledwie 500 m. Pamiętam, że bardzo lubiłam tam chodzić z koleżankami, ponieważ **woda była krystalicznie czysta, że nawet dziś w studni takiej nie będzie. Brzeg był łagodny, białutki piasek, a woda niegłęboka, tam lubiliśmy się kąpać, wypoczywać i pływać „po warszawsku” – jak to się mówi potocznie: brzuchem po piasku. W rzece były piękne ryby i duże i smaczne.** Nasz tatuś Kazimierz i wielu innych lubił tam niekiedy posiedzieć, a po pewnym czasie na naszym stole już dymiły gotowe i posolone karasie i szczupaki. Były również i piskorze, ale tych jakoś nie bardzo lubiliśmy jeść, bo takie podobne do węży.

#### KOCHAŁAM MOJĄ SZKOŁĘ W SWOJCZOWIE

Moja pamięć sięga do chwili przeprowadzki na kolonię Jasionówka i to jest pierwsze wydarzenie w moim życiu, które dobrze pamiętam, miałam wtedy około 8 czy 9 lat. Od samego początku zaczęłam chodzić więc do szkoły w Swojczowie, do którego było około 5 km. W tamtych czasach czy lato, czy zima musiałam wraz z innymi dziećmi zasuwać na piechotę, nie było żeby nas kto podwiózł. Oczywiście, gdy trafiła się wielka zadyma śnieżna, to i sanie się dla dzieci znalazły, raz mój tatuś powoził, innym razem pan Buczko czy Zymon i Uleryk. Nasza droga wiodła przez Hutę - małą polską kolonijkę liczącą tylko jedno gospodarstwo, stamtąd było już tylko 2 km do Swojczowa. Mieszkała tam tylko jedna rodzina ukraińska o nazwisku Ostapiuk. To był człowiek bardzo dobry, któremu nasza rodzina wiele zadzięcza, a przecież był baptystą.

W klasie mojej było około 30 dzieci, a więc była nas duża klasa, w tym 10 dzieci pochodzenia polskiego, 10 dzieci z rodzin ukraińskich, 3 dzieci z rodzin żydowskich i 7 dzieci narodowości niemieckiej. Pomimo takiego zmieszania żyliśmy wszyscy w największej zgodzie i właściwie dziś nie przypominam sobie nawet jednego przykładu awersji wobec kogokolwiek w naszej klasie, a nawet w całej szkole. **W naszej klasie atmosfera była wprost wspaniała, pamiętam to o czym piszą inni, że na początku była krótka modlitwa i wszyscy wspólnie modlili się, nikomu to nie przeszkadzało i nikt się na to nie skarżył i nie zżymał. Tylko trójka naszych Żydów w tym czasie cichutko stała, te dzieci były bowiem zwolnione z tej modlitwy.** Pragnę zaznaczyć, że nigdy nie spotkałam się, choćby z najmniejszą krytyką, że jest modlitwa na początku i na samym końcu naszych lekcji. A dziś wydaje się to chyba nie do pomyślenia, chociaż w naszych klasach są dziś niemal same dzieci polskie, a przy tym wyłącznie wyznania katolickiego. Dlaczego więc nie ma dziś modlitwy w naszej szkole, komu brakuje tu dobrej woli i odwagi, aby i dziś po ten dobry przykład sięgnąć i ponownie wprowadzić go do naszych szkół. Czy coraz bardziej eksponowana agresja młodych ludzi nie jest kolejnym, ważnym



argumentem ku temu by tak właśnie zrobić? Czy tak ciężko wypowiedzieć tych zaledwie kilka słów, w tak krótkim przecież czasie? Dziś tak dużo mówi się o wolności i tolerancji, a czy powyższy przykład nie jest paradoksalnie oskarżeniem dla dzisiejszej edukacji, nazywanej nowoczesną i postępową? Nie osądzam, należę bowiem od lat do Legionu Maryi, widzę jednak gołymi oczyma, jak daleko nam dziś do osiągnięcia owoców tamtej, naszej przedwojennej szkoły. Dodajmy, programowi szkoły tak opluwanej i niszczonej przez lata całe przez komunistów, którzy prześcigali się w krytyce niemal wszystkiego co sanacyjne, burżuazyjne i piłsudczykowskie, nie wspomnieć o tym co narodowe czy katolicko – narodowe.

W szkole mieliśmy wielu dobrych nauczycieli, właściwie od każdego przedmiotu, ale ja najbardziej lubiłam nauczyciela od śpiewu, nazywał się Stanisław Stanisławski i był ze Swojczowa. On to właśnie potrafił zachęcić mnie i innych do przychodzenia na próby szkolnego chóru. Zwykle ja i mój brat rodzony Feliks oraz brat stryjeczny Józef Południwski oraz wielu innych zostawaliśmy po lekcjach, nawet 3 razy w tygodniu. Spotkanie trwało zwykle do godziny czasu, śpiewaliśmy pieśni patriotyczne oraz ludowe przyśpiewki. Ja najbardziej lubiłam śpiewać pieśni wojenne, takie nad którymi można się było zadumać, do dziś wiele z nich pamiętam bardzo dobrze, oto jedna z tych, które lubiłam najbardziej: „Jedzie ułan w las”

*I Jedzie ułan w las, krew mu ciecze z ran  
Pokrwawioną, poszczepioną chorągiewkę ma czerwoną  
Z konia kipi pot, stanął u brzoza, krew mu ubiega  
Tam się nasi rąbią, gonią, rżą koniki, szable dzwonią  
A on stoi sam.*

*II Z konia padł na wznak, pod kaliny krzak  
A kalina jak matula, w swoje listki go utula  
Na śmiertelny sen.*

Narodowe święto 3 Maja 1938 r. w Swojczowie. (zdjęcie z prywat. zbiorów bodajże Władysławy Główka z d. Bedychaj ze Swojczowa)



Gdy zbliżały się jakieś święta narodowe, patriotyczne nasz chór zawsze brał udział w różnych uroczystościach, czy to były Akademie szkolne, czy jakieś spotkania okolicznościowe. I ja również otrzymywałam różne role, dla przykładu wiele razy deklamowałam różne wiersze, po raz pierwszy gdy byłam w klasie trzeciej. Robiono nam wtedy piękne zdjęcia, niestety nie zdążyłam zabrać ze sobą ani jednego z nich i wszystko przepadło wraz z naszym domem na Jasionówce.

Nauczyciele organizowali także wiele wycieczek krajoznawczych w Swojczowie i okolicach. Najczęściej poruszano problematykę historyczną, opiekował się wtedy nami nasz wychowawca, który nazywał się Szczepankowski. Był to człowiek bardzo dobry i miły dla dzieci, o niezwykłym wyczuciu pedagogicznym. Bardzo go lubiłam i to on właśnie, choć był polonistą naprawdę potrafił zorganizować lekcję historyczną, gdy chodziliśmy dla przykładu pod Krzyż ustawiony dla upamiętnienia Powstania Styczniowego lub Listopadowego. Niestety już dziś nie pamiętam gdzie stała ta Figura, ale było to około 3 km na wschód od naszej szkoły w Swojczowie. Bywało i tak, że chodziliśmy na święto lasu każdego roku z rzędu. Pewnego razu gdy prowadził nasz nauczyciel, a my szliśmy dwójkami, trzymając się za rączki, jednolicie, pięknie na granatowo poubierani, była piękna pogoda, a my głośno, radośnie śpiewaliśmy do marszu naszą ulubioną piosenkę o dzielnym

plk. Kuli – Lisie, który swoje życie złożył na Ołtarzu Ojczyzny. Właśnie przechodziliśmy przez jakąś miejscowość, nawet chyba tam gdzie stała wspomniana już wcześniej Figura i widzieliśmy jak wielu ludzi wychodziło do drogi z domów i z wyraźną sympatią przysłuchiwało się nam dzieciom. Na pewno ich serca napełniały się w tym momencie radością i dumą, bo przecież stanowiliśmy zastępy przyszej, nowej Polski. Nagle z opłotków jednego domu wyszedł zapłakany człowiek, starszy pan, bardzo poruszony i porosił naszego nauczyciela, aby tej pieśni w tym momencie nie śpiewać. Przedstawił się następnie uprzejmie jako ojciec naszego bohatera plk. Lisa – Kuli. Nauczyciel uszanował tę prośbę tak miłego gościa i dalej szliśmy przez chwilę w milczeniu. Nie pamiętam, abym wtedy o czymś mówiła, do dziś wspominam to bardzo miło. Trzeba przyznać, że takie historyczne spotkania, chwile, niespodzianki zdarzają się niezwykle żadko, ale zawsze są bardzo ubogacające.

Leokadia Michaluk z d. Południwska z koloni Jasionówka (z lewej) oraz jej koleżanka Eugenia Lasko z koloni Sewerynowó polozonej niedaleko męznego i jakże polskiego Bielina. (zdjęcie z prywat. zbiorów pani Leokadii Michaluk z d. Południwska)



Święto lasu to była dla nas zawsze prawdziwa frajda, w tym czasie nie było bowiem lekcji, ale wszyscy szli do lasu, który był najbliżej, a tam odbywały się przeróżne imprezy szkolne. Organizowano ciekawe gry i konkurencje sportowe, a poza tym podziwialiśmy piękno ojczystej przyrody, jak choćby wyszukiwanie najokazalszych dębów. Ja najmiej wspominam sprzedawane tam pyszne lody, ponieważ kiedyś ich nie było, a tam były zawsze. Impreza była tylko dla dzieci i dla młodzieży, zawsze w czerwcu, a organizatorem była zawsze nasza szkoła. Na różnych imprezach szkolnych mówiłam okazyjnie wiersze, do dziś niektóre z nich pamiętam i to dość dobrze. Oto słowa jednego z takich wierszy, który mówiłam z okazji Święta 3 Maja oraz 11 Listopada w świetlicy szkolnej:

*I Rozbijały stary dzwon, na wierzy od kraja po kraj*

*Niechże mocno uderzy na ten 3 Maj*

*Niechże dzwoni donośnie, radośnie*

*O tym święcie polskim, o tej wiosnie.*

*II 11 Listopada miała Polska biedę z sąsiadami trzema*

*Zabrali nam ziemię i krzyczą: nie ma Polski, nie ma!*

*A nasz biedny Naród jeno ściszał pięści*

*Jeno czekał takiej chwili, aż mu się poszczęści.*

*Aż tu huk armatni wstrząsnął całym krajem*

*Co to? Wojna, żli sąsiedzi pobili się wzajem.*

*Zrywa się nasz dziadek za Polskę wojować*

*Będzie Polska Komendancie, jeno nas poprowadź.*

*A my wojowali w głodzie, w poniewierce*

*Bośmy Polsce dali całe nasze serce.*

*Żołnierskie mogiły drogę nam znaczyły*

*Bośmy Polsce dali wszystkie nasze siły.*

*Aby wybiła godzina wygranej od dziada, pradziada*

*Nasza Polska zrzuciła kajdany*

*W ten dzień 11 Listopada.*

Nasza szkoła, nasi nauczyciele byli ludźmi nie tylko dobrze wykształconymi, wielkimi patriotami, ale byli przede wszystkim ludźmi głębokiej wiary, zdrowej i ugruntowanej religijności. Przekładało się to na dobrą współpracę z naszym kochanym proboszczem ks. Franciszkiem Jaworskim. W każdą niedzielę mieliśmy



obowiązek szkolny przyjść do szkoły przed godz. 09.00 rano i parami szliśmy około 500 m przez wieś Swojczów do naszej kochanej mamusi Matki Bożej Swojczowskiej. Zresztą nie tylko wtedy, bo i w Wielkim Poście w każdy piątek całe klasy udawały się po lekcjach do kościoła na uroczystą Drogę Krzyżową.

Kościół parafialny p.w. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, zburzony przez Ukraińców w końcu sierpnia 1943 r. (zdjęcie z prywat. zbiorów Sławomira Roch)



Od najmłodszych lat dziecinnych rodzice zabierali mnie do kościoła, a gdy tylko podrosłam sama już chodziłam, gdy trzeba było tam iść. Lubiłam chodzić do naszego kościoła, była to duża i piękna świątynia, a co najważniejsze był tam łaskami słynący Obraz Matki Bożej Swojczowskiej. Mieszkańcy Swojczowa, całej naszej parafii, a także wielu przybyszów otaczało

Madonnę ze Swojczowa wielką czią i miłością. Również i ja sama i nasza rodzina pałaliśmy do Matki Swojczowskiej wielką, gorliwą miłością. Dlatego nie było święta, czy uroczystości kościelnej i niedzielnej, abyśmy nie jechali na nabożeństwo. A gromadziły się w tych dniach prawdziwe tłumy, ludzie z okolicznych miejscowości i Polacy i Ukraińcy, modlili się zgodnie i bez uprzedzeń. **Ja szczególnie lubiłam stawać po prawej stronie świątyni, można powiedzieć męskiej, gdyż tam przeważnie siadali i stawali mężczyźni, choć jak widać nie było reguły. Stawałam zwykle blisko samego Obrazu św. Tereski od Dzieciątka Jezus, to był duży i piękny Obraz, który bardzo mi się podobał. W naszym kościele był piękny chór, który potrafił naprawdę zaśpiewać, tak że aż się serce radowało, ale nic dziwnego skoro chór prowadził nasz organista Jakubicki. Człowiek obdarzony wielkim i niecodziennym talentem, osobiście znałam jego córkę Sabinę, z którą chodziłam do jednej klasy. Nie wiem co się później z nią stało słyszałam natomiast, że jej ojciec został zamordowany, mówiła mi o tym Stanisława Sobczuk z d. Rusiecka, również zamieszkała w Gdeszynie.**

#### **OD WIOSNY NASI CHŁOPCY „ZAPADALI SIĘ POD ZIEMIĘ”**

Ostatnie Boże Narodzenie na Wołyniu w roku 1942 przeżywaliśmy jeszcze w bardzo spokojnej atmosferze, tak że poza Niemcami nie znaleźliśmy żadnych innych źródeł niepokoju. Nadal żyliśmy sobie spokojnie i nigdy nawet nie przyszło by nam do głowy, że raptem w ciągu kilku miesięcy nasza rodzinna ziemia zamieni się w piekło i to prawdziwe. Gdyby ktoś wtedy przekonywał mnie, że za pół roku Ukraińcy będą na nas polować jak na zwierzęta po lasach i po wsiach, będą nas dosłownie eksterminować siekierami w najbardziej wymyślny i barbarzyński sposób, nie uwierzyłabym. Może bym nad tym rozmyślała, ale nie przyjąłabym tego do siebie, tak bardzo było to nie do pomyślenia. Dlatego jak co roku świętowaliśmy, dużo kolędowaliśmy, ale oczywiście radość nasza była jakby



**CUDOWNY OBRAZ  
MATKI BOSKIEJ SWOJCZOWSKIEJ  
CUDAMI SŁYŃĄCY**

przytłumiona przez tragedię i trudy wojny, podobnie i w nowy rok. Pamiętam nawet, że razem z mamusią Stefanią udałyśmy się 31 grudnia na uroczyste Nieszpory z okazji zakończenia starego roku i powitania nowego. Nasza rodzina czyniła tak tradycyjnie każdego roku, wsiadaliśmy na sanie i jechaliśmy do Swojczowa. W tym roku wyjątkowo poszłyśmy z mamą na piechotę, w kościele jak zawsze było już dużo ludzi. Nabożeństwo zakończyło się około godz. 19.00 uroczystym błogosławieństwem zebranych.

Właściwie cała zima przebiegła dla nas Polaków dość spokojnie i dopiero wczesną wiosną, około marca 1943 r. zaczęły dochodzić słuchy, także do mnie, że policja ukraińska, która wysługiwała się Niemcom uciekła z bronią do lasu. I tak to policjanci ukraińscy z Werby uciekli do lasu Świnarzyńskiego, tam organizując swoją bandę. Tak mówili okoliczni Polacy, ponieważ sami Ukraińcy mówili o sobie, że tworzą partyzantkę ukraińską, aby walczyć przeciwko Niemcom. I Rzeczywiście, na ten czas nikt jeszcze nie obawiał się tych oddziałów zbrojnych, tak było przynajmniej w naszej okolicy i w moim domu rodzinnym. Doprawdy trudno się dziwić moim rodzicom, skoro niektórzy z tych partyzantów, często przyjeżdżali z lasu do naszego domu, bowiem dobrze znali rodziców. Do dziś pamiętam ich twarze i nazwiska: Mikitiuk i Sawczuk, obaj wcześniej byli komendantami posterunku ukraińskiej policji w Werbie. Wiele razy miałam okazję przysłuchiwać się rozmowom mojego tatusia, czy rodziców z nimi w naszej kuchni. Oczywiście wracał temat wojny i ukraińskiej partyzantki, **Ukraińcy mówili wtedy zwykle to samo: „My i wy Polacy musimy wspólnie zorganizować partyzantkę zbrojną, wojsko polsko - ukraińskie, aby wspólnie walczyć przeciwko Niemcom. Stworzymy jedno państwo i będziemy razem walczyć. Dlatego wstępujcie do naszej partyzantki, byśmy byli razem. Jeśli macie jakąś broń ukrytą to bierzcie ze sobą, wszystko się przyda.”**

Takich rozmów pamiętam wiele, może dlatego że jakoś nasi ludzie im nie dowierzali i nie bardzo w szeregi ich partyzantki się garnęli. Podobnie i mój brat Feliks, który miał wtedy 19 lat nie chciał iść z nimi do lasu. Zapamiętałam szczególnie jedną z takich wizyt, kiedy go usilnie znów namawiali, choć nie zmuszali. Na szczęście miał przecucie i nie poszedł, niestety jego dobry kolega Cezary Omański lat 19 dał się namówić i od tej pory ślad po nim zaginął. To był nasz sąsiad przez miedzę, dlatego pamiętam ponieważ kiedy Ukraińcy jeszcze do nas zachodzili, przychodziła także matka Cezarego, miała na imię Felicja i płakała biedaczka, zatroskana za synem. Na to oni zwykle odpowiadali spokojnie tak: „*Proszę się niczego nie obawiać, syn ma się dobrze a do domu nie może na razie przyjść, bowiem wszystkich nas obowiązuje dyscyplina wojskowa oraz tajemnica służbowa, a to wszystko na wypadek zachowania środków bezpieczeństwa. Jak tylko będzie mógł dostanie przepustkę i przyjedzie do domu.*” Omańskiego zabrali już około czerwca 1943 r., zatem na przełomie wiosny i lata, wcześniej była ostatnia na Wołyniu Wielkanoc.

Święta Zmartwychwstania Pańskiego przebiegały u nas jeszcze w miarę spokojnie, ale ludzie byli już niespokojni bowiem od czasu do czasu dochodziły i do nas słuchy, że Ukraińcy potajemnie mordują Polaków. Ale to było gdzieś daleko na południe, bo u nas wciąż panował względny spokój. Tak że ja i moja rodzina wybraliśmy się na Rezurekcję, w kościele było mnóstwo ludzi, panował tłok, ale wszyscy modlili się spokojnie, podobnie i same święta przebiegły spokojnie. Około dwa tygodnie od zabrania Omańskiego, Ukraińcy znowu przyjechali do naszego domu, ale tym razem nie byli już układni i mili, tylko wręcz groźnie i zdecydowanie zarządzali od brata, aby wydał im broń którą ukrywał, mówiąc: „*Południowski oddaj broń, którą przechowujesz!*” Ale brat się nie przyznał, dlatego przemocą zabrali go ze